GONIEC KRAKOWSKI 50 hal.

Redakcya i administr.: Kraków, Dunajewskiego 7, Telefon Nr. 2502.
Biuro miastowe administracyi: Kraków, ulica Karmelicka Nr. 16.

Prenumerata w Krakowie: miesięcznie K. 13·— Z odnoszeniem do domu oraz na prowincyi miesięcznie K. 15·— Rękopisów redakcya nie zwraca.

Rok II. Kraków, Wtorek 22 lipca 1919. Nr. 195.

Koalicya wszystkich sąsiadów Polski przeciw Polsce

Kraków, 20 lipca.

Od jednego z wybitnych polityków polskich, który świeżo powrócił z Paryża, gdzie miał kontakt z najwybitniejszemi osobistościami świata politycznego, otrzymaliśmy senzacyjną wiadomość o utworzeniu przed niedawnym czasem **koalicyi wszystkich naszych „sąsiadów" przeciw Polsce.**

Relacye naszego informatora brzmią, jak następuje:

„Przed podpisaniem traktatu pokojowego Niemcy zawarli umowę z bolszewikami, Ukraińcami, Rumunami i Czechami w sprawie akcyi zaczepnej przeciw Polsce.

Niemcy wraz z bolszewikami mieli rozpocząć akcyę zaczepną z północy, Ukraińcy wraz z Rumunami mieli obsadzić wschodnią Galicyę, co też ci ostatni częściowo uskutecznili.

Czesi mieli obsadzić południowo-zachodnią Galicyę, czego częściowo i to nawet z lokalnymi sukcesami dokonali.

Tymczasem Niemcy podpisali traktat pokojowy i nie mogli dotrzymać umowy. Aby się salwować, chcieli oni stworzyć z Górnego Śląska i Prus wschodnich osobną jednostkę państwową, oraz stworzyć armię tej „narodowej republiki" pod wodzą Hindenburga, tudzież v. Bellowa i wysłać ją przeciw Polakom.

Ponadto **miał także Mackensen ze swoimi oddziałami, stojącymi na Węgrzech, dopomódz Czechom w marsz uprzeciw Polsce.**

* * *

Wiadomość tę podajemy z obowiązku dziennikarskiego. **Przedstawia się ona tak senzacyjnie, że wszelkie bardzo daleko idące zastrzeżenia są konieczne.**

Niemcy łączą się z bolszewikami rosyjskimi.

Warszawa. (PAT) „Rząd i Wojsko" podaje następujące fakta: Współdziałanie wojskowe Niemców z armią bolszewicką przybiera coraz większe rozmiary: Od dłuższego czasu trwają stałe wysyłki oficerów i podoficerów niemieckich jako instruktorów do armii sowietów. — Wśród wysyłanych szerzy się wiadomość, że przymierze między Niemcami a Rosyą, dotychczas ukrywane w tajemnicy, będzie wkrótce oficyalnie opublikowane. W ostatnich czasach Niemcy wysyłają całe pułki w mundurach armii sowieckiej do armii bolszewickiej.

Z innego źródła pisze „Rząd i Wojsko", otrzymujemy następującą wiadomość: Niemcy wysłały do Kurlandyi dla eiserne Divisien pociągi pancerne, działa i amunicyę, tymczasem, jak donoszą zbiegowie z Kurlandyi, przeznaczone były dla bolszewików.

Sprawców hajdamackich rzezi dosięgnie sprawiedliwość, spokojna ludność obu narodów dozna ojcowskiej opieki.

Odezwa gen. delegata do mieszkańców wschodniej Galicyi.

Lwów. (PAT). P. Delegat generalny Dr Kazimierz Gałecki wystosował do mieszkańców Galicyi wschodnie następującą odezwę:

Zrządzeniem opatrzności i męstwem polskiego żołnierza straszliwa wojna bratobójcza ma się ku końcowi. Na kraj nasz sprowadziła ona straszliwe nieszczęścia, rozpętawszy nienawiść ślepą i dzikie instynkty. Niezatartą **pozostanie hańba ohydnych morderstw, pastwienie się nad bezbronnymi i niewinnymi: planowe wygładzanie tysiąca ludności, rzucanie jej rozmyślnie na pastwę chorób zaraźliwych w t. zw. barakach internowanych, zdzieranie choćby ostatniego grosza i ostatniej koszuli obok niszczenia dobytku, którego nie można było unieść ze sobą.**

Nietylko polska, ale także ruska ludność jęczała i poniosła ciężkie straty pod rządami tych, którzy aż nazbyt często mieli Ukrainę tylko na ustach i tam, gdzie **wmawiali w siebie, że podejmują walkę w imię idei narodowych byli narzędziem w reku odwiecznych wrogów nietylko Polski, lecz i Rusi i całej zresztą Słowiańszczyzny.** W ślepej nienawiści zapowiadając zagładę Polsce, zapomnieli wichrzyciele, że ci, przez nich tak nienawidzeni Polacy, to wszakże krewni przyjaciele i sąsiedzi Rusinów i że dwa owe narody są tak ściśle ze sobą od wieków sprzężone, że żałoba jednych spada kirem na drugich, a krzywda zwala się także na czyniących krzywdę.

Naród polski pomny odwiecznych związków, nie z mieczem pomsty idzie, jeno z gojącem słowem pokoju. **Sprawców morderstw i rabunków dosięgnąć musi karząca sprawiedliwość. Jednak ludność spokojna pewna być może, iż nikomu włos nie spadnie z głowy. Poręczamy równe prawa taksamo Rusinom jak Polakom, jednym jak drugim poruczamy bezpieczeństwo życia i mienia. Nigdy Polak nie splamił się uciemiężeniem i teraz także pozostaniemy wierni swojej tradycyi, swojej kulturze.**

Powracajcie wszyscy do waszych sadyb i do waszych zajęć. Posłuszni zasadom przez nań szanowanym, **zabezpieczającym każdemu jego prawa narodowe i swobody wyznaniowe, wytężcie wszystkie siły dla zagojenia ran, zadanych przez wojnę.** Zgodne pożycie obu bratnich narodów i wspólna ich praca stanie się zadatkiem pomyślnej przyszłości tego wszystkim nam drogiego kraju, który tyle ucierpiał wskutek wojny.

Lwów, dnia 19 lipca 1919.

Dr K. Gałecki, gen. del. rządu.

Dymisya gabinetu jeszcze nie nastąpiła.

Min. Iwanowski pełni prowizorycznie nadal swe funkcye.

Warszawa. (PAT) **Minister pracy i opieki społecznej Pan Iwanowski wniósł dymisyę na ręce zastępcy prezesa ministrów Wojciechowskiego.** Na wyrażone przez Pana Wojciechowskiego życzenie minister Iwanowski będzie pełnił dotychczasowe obowiązki aż do mianowania następcy. Podana przez jeden z tut. dzienników wiadomość, jakoby na wczorajszem posiedzeniu rady ministrów zapadła uchwała podania się do dymisyi całego gabinetu nie zgodna z prawdą.

Konferencye polsko-niemieckie w Toruniu.

Poznań. (PAT.) Wczoraj powróciła tutaj z Torunia delegacya, która prowadziła rokowania z przedstawicielami rządu niemieckiego. **Obrady miały charakter nieobowiązujący. Zarówno Dr.** Łaszewski jak i Jan Schneckenburg t. j. przewodniczący obu delegacyi oświadczyli, iż są upoważnieni do rokowań, ale uchwały, któreby zapadły nie będą obowiązujące dla obu stron. Na zapytanie Niemców czy rząd polski powziął już decyzyę w sprawie noty rządu niemieckiego o rozpoczęciu bezpośrednich rokowań w Berlinie, **przedstawiciel Polski odrzekł, że nota ta dopiero teraz nadeszła do Warszawy i dotychczas w tej sprawie nie zapadła uchwała.** Schneckenburg wyraził życzenie, aby prace przyczyniły się do uspokojenia opinii. Polacy wyrazili żal, że władze niemieckie robią trudności w rozpowszechnianiu na obszarach, które mają być oddane Polsce odezw Naczelnej Rady Ludowej z dnia 24 i 30 czerwca. **Dalej wskazali na politykę antypolską w powiatach, w których ma się odbyć plebiscyt. Co się tyczy wojsk to nie wystarczą same teoretyczne pouczenia, ale przedewszystkiem należy wycofać armię niemiecką. Wszyscy uczestnicy zgodzili się na ustanowienie straży ludowej, złożonej z członków wszystkich warstw bez różnicy narodowości. Następnie omawiano przejęcie administracyi przez władze polskie.** Dr Łaszewski stwierdził, że ministerstwo polskie dotychczas nie zajęło się tą sprawą, że jednakże **odnośne decyzye ministerstw opracowuje się.** Prawdopodobnie przez pewien czas pozostanie dotychczasowa administracya i stan prawny. Rząd polski przejmuje urzędników niemieckich na prawach wyjątkowych. — Niemcy zaznaczyli na to, **że o ile rząd polski chce zatrzymać urzędników niemieckich to będzie musiał im poczynić daleko sięgające gwarancye(!).** Co się tyczy tak zwanych urzędników kontrolnych Schneckenburg oświadczył, że **postanowił przydzielić lazaratom do boku jako organa doradcze mężów zaufania z pośród ludności polskiej i niemieckiej.** W sprawie osób internowanych Polacy oświadczyli, że w przyszłości nie będą już zarządzane internowania. Znaczna liczba internowanych została już zwolniona i mają nastąpić dalsze zwolnienia. Ze swej strony, **Polacy spodziewają się, że i rząd niemiecki w najbliższym czasie zwolni Polaków internowanych, tudzież uwięzionych pod zarzutem zbrodni politycznej, albo też za czyny pośrednio będące w związku z polityką.** Dalej Niemcy sformułowali ta kiwniosek: Rząd polski wyraża w zasadzie gotowość nadania obywatelstwa polskiego Niemcom,którzy osiedlili się po 1. stycznia 1908 roku na obszarach przyznanych Polsce, **jakoteż kolonistom, z tem zastrzeżeniem, że tylko wyjątkowych razach rząd polski tego obywatelstwa odmówi.** W razie konfiskaty majątku kolonisty rząd polski przyzna mu 6-miesięczne moratoryum. Omawiano następnie sprawę poboru do wojska. Schneckenburg przedstawił wniosek: Niemcy, którzy po 1 stycznia 1908 osiedlili się w obszarach przyznanych Polsce **podlegają poborowi tylko wówczas, gdy posiadają obywatelstwo polskie.** Ci zaś, którzy osiedlili się przed r. 1908 mogą być zaciągnięci do wojska w razie gdy oświadczą się za Polską(-) Sprawy komunikacyjne załatwi osobna komisya. — Delegacya niemiecka oświadczyła, że ruchomości na ziemiach przyznanych Polsce pozostaną na miejscu, wywieźć wolno tylko to, co należy do części Poznańskiego i Prus, które mają pozostać przy Niemczech. Dalsze rokowania będą się toczyły w Gdańsku. Termin przyszłych obrad ustalono na dzień 23 bm.

Przywrócenie porządku w oswobodzonej wsch. Galicyi.

Lwów. (PAT) „Gazeta Lwowska" donosi: Gdziekolwiek rozbity nieprzyjaciel próbuje jeszcze stawiać opór, opór ten pęka pod uderzeniem polskich oddziałów. Wielka liczb ajeńców, znaczny łup w armatach, kulomiotach, automobilach, amunicyi, sprzęcie technicznym, wozach itp. przelicza się i sortuje. W miejscowościach zdobytych zaprowadza się spokój, regularny tryb życia i bezpieczeństwo mienia. Oswobodzeni Polacy i Rusini zwracają się z zaufaniem do dowódców i żołnierzy.

O Akademię eksportową w Krakowie.

Kraków, 20 lipca.

(K) Jak się dowiadujemy, wśród sfer miarodajnych istnieje zamiar **otwarcia w Krakowie może już w najbliższym czasie akademii eksportowej.** Wbrew wszelkim obawom pessymistów, jesteśmy przekonani, **że otwarcie akademii eksportowej powita nietylko Kraków, ale całe społeczeństwo** z najwyższem **uznaniem i radością.**

W chwili odzyskania niepodległej Ojczyzny, musimy pracować w kierunku rozwinięcia wszystkich gałęzi życia społecznego i gospodarczego. Ludzi u nas nie brak. **Niestety brak ludzi fachowych w bardzo wielu dziedzinach pracy.** Tolerowane dotychczas nieuctwo i „domowe wykształcenie" **musi ustąpić jak najszybciej miejsca prawdziwej i fachowej umiejętności.**

Handel i przemysł, podpory każdego państwa, znajdują się u nas w kolebce. Jakkolwiek już przed wojną coraz liczniej młodzież rezygnując z tak nudnej swego czasu karyery urzędniczej, kształciła się w akademiach handlowych, to jednak ilość absolwentów tychże, jest wobec ogromnego zapotrzebowania sił wprost znikomą. **Co więcej „Akademia handlowa" w Krakowie, stojąca na b. wysokim poziomie** (druga w b. Austryi) **nie mogła przyjąć licznych zgłoszeń, wskutek dwarazowej nauki.** Skutkiem tego ci, którzy mogli, wyjeżdżali za granicę kraju do Austryi, Niemiec i Belgii.

Podobnie dzieje się i obecnie. Wielu młodych, pragnących kształcić się w zakresie handlu i przemysłu, **wyjeżdża na akademię eksportową do Wiednia.**

Jakkolwiek poznanie krajów jest b. korzystnem, to jednak studya odbyte we własnym kraju mogą i są podstawą do objęcia całokształtu **nauki, która udzielana w języku obcym, często nie wydaje na razie oczekiwanych owoców.**

Odkładając bliższe omówienie tegoż tematu do najbliższych dni, zaznaczamy, iż ze swej strony będziemy gorąco i usilnie, a prawdopodobnie nie sami tylko popierać w doprowadzeniu do skutku projektu otwarcia w najbliższym czasie w Krakowie i **Akademii eksportowej.**

Trzy minuty u Franciszka Józefa.

Kraków, 19 lipca.

(?) Wielki dramat Szekspirowski, ktorego **pierwszy akt miał Sarajewo za dekoracyę, a którego rozwiązanie nastąpić** ma w więzieniu londyńskiem La Tour, wzbogaca się codzień coraz to nowym przyczynkiem.

Oto najświeższy przyczynek do tragicznego prologu z 28 czerwca 1914 roku. Dostarczył go nam jeden z najświeższych numerów austryackiego organu wojskowego, mianowicie „Danzers Armeezeitung":

„Onego dnia — pisze ten organ — a było to w niedzielę, około godz. 1-ej po południu, pewien telegrafista przedostał się do parku willi cesarskiej w Ischlu i został wprowadzony do biura p. Margutti'ego, sekretarza cywilnego hr. Paara.

Sekretarz wziął podaną sobie depeszę, pomyślał, że idzie tu o jakieś banalne doniesienie oficyalne i w pierwszym odruchu szukał już odpowiedniej formuły dla odpowiedzi. Następnie otworzył depeszę i spostrzegł, że była ona zaopatrzona w podpis wielkiego mistrza dworu, arcyksięcia następcy tronu. Zaczął ją czytać i z początku nic nie rozumiał: mówiono w niej o trupach „wysokich osób", o „strasznem nieszczęściu".

Przeczytał po raz drugi i trzeci tekst depeszy, zagmatwanej być może celowo i wywierającej wrażenie, jak gdyby jej autor drżał wobec własnej prozy, aż wreszcie pojął, że arcyksiążę Ferdynand i arcyksiężna Zofia Hohenberg zostali [illegible]owani.

Margutti powstał i udał się do hr. Paara. Konferował on właśnie z mistrzem polowań dworskich, bardzo poważną osobistością, która okazała się bardzo zgorszoną tem, że Margutti zdecydował się wejść z depeszą bez zaanonsowania swej wizyty.

Hr. Paar, przeczytawszy depeszę, popadł w odrętwienie, tak, iż Margutti musiał mu przypomnieć, że należy natychmiast poinformować cesarza, co zaszło. Razem wyszli z gabinetu. — Hr. Paar udał się do cesarza. Margutti, oczekujący nań w westybulu, wyjął zegarek, stosownie do starego zwyczaju, odnoszącego się do punktualności, która była regułą na dworze Franciszka Józefa.

Po upływie trzech minut hr. Paar ukazał się z powrotem i rzekł:

— Jutro powrót do Wiednia. Najjaśniejszy pan spożyje dziś obiad bez towarzystwa.

Margutti ośmielił się zapytać:

— Jak cesarz przyjął wiadomość o nieszczęściu?

Hr. Paar odrzekł:

— Cesarz jest starcem... Przeniósł on w swojem życiu gorsze rzeczy, niż ta...

Czy sport szkodzi piękności kobiecej?

Kraków, 19 lipca.

(m-m) Kiedy kobiety po raz pierwszy zaczęły zajmować się sportem — to różne starsze damy, mamy, babcie i ciocie, przeraziły się tą nowością [illegible] bieca i stanowi poważny grzech przeciw piękności... Cóż to bowiem estetycznego opalone ręce twarz, szyja?... Poza tem miało to być rzeczą wielce nieprzystojną, aby młode panie tak swobodnie używały sportowych rozrywek w towarzystwie mężczyzn.

Obecnie jedno z angielskich pism ogłosiło ankietę, w której zwraca się do swych czytelników i czytelniczek z pytaniem, czy istotnie sport przynosi szkodę urodzie kobiecej.

Z odpowiedzi nadesłanych wynikałoby, że jednakowoż opiekunki starej daty miały nieco racyi, ponieważ korzystniej jest dla kobiety, pragnącej być piękną bez zarzutu, unikać sportu, choćby umiarkowanie uprawianego, leżeć wygodnie na sofie z romansem w ręku, zamiast biedz wczesnym porankiem na plac tennisu lub golfu i tam w pocie czoła męczyć się.

Pewna znana londyńska „beauty" dała następującą charakterystyczną odpowiedź:

„Sama bardzo wiele zajmowałam się sportem i mogę wyznać, że byłam namiętną tennisistką. W czasie, kiedy inni spokojnie jeszcze spali, w swych łóżkach, biegłam z moją rakietą pod pachą na plac i rzucałam piłki, choć słońce żarem sypało z nieba. Po kilku miesiącach doszłam wszakże do przekonania, że moja passya sportowa nie wpływa wcale dodatnio na moją powierzchowność. Przeglądając się w lustrze, dostrzegłam na twarzy pewne ostre linie, których tam dawniej nie było. Przytem ów nadmierny ruch psuł harmonię moich kształtów, tak, iż ci, którzy dotychczas śpiewali mi hymny pochwalne na cześć mej pięknej figury, zaprzestali prawienia mi komplementów. Postanowiłam tedy oszczędzać się, leżeć dłużej w łóżku i raczej pielęgnować moją cerę, niż ubiegać się o pierwszą czy drugą nagrodę na turnieju tennisowym. Już po trzech tygodniach dostrzegłam wyraźne zmiany „en beau" i próżność moja skłoniła mnie do zupełnego prawie zaniechania sportu".

Inna znów lady tak pisze:

„W illustrowanych pismach widzi się dużo rycin, przedstawiających sportsmenki w pozach bynajmniej nie najkorzystniejszych dla ich estetycznego wyglądu. Można n. p. zobaczyć, jak ładna dziewczyna w gorączce gry tennisowej otwarła szeroko usta, a natężenie skrzywiało jej brzydko mięśnie twarzy. Także i najnowsze tańce ze swymi dziwacznymi ruchami wcale nie przyczyniają się do dodania gracyi kobiecie. Jestem więc zdania, że sport, zwłaszcza z przesadną namiętnością uprawiany, jest czynnikiem ujemnym dla piękności kobiet... — Tem bardziej, że kobiety łatwo ulegają gorączce rywalizacyi, pragnąc nie tylko dorównać swoim partnerom, ale ich zaćmić, prześcignąć, wytężając się ponad swe siły i w ten sposób szkodzą sobie. Oczywiście sport, który nie przechodzi granicy sił danej kobiety, nie tylko nie niszczy jej piękności, ale ją [illegible]. N. p. kobieta wygląda prześlicznie, kiedy po niezbyt długiem i męczącem ćwiczeniu pływackiem, policzki płoną jej zorzą rumieńca. Na ogół jednak mają racyę ci, którzy ostrzegają: „Bądźcie ostrożne „sportladies", bo zbrzydniecie!"

W tym samym duchu wypowiedziała się większość... Tylko nieliczni z odpowiadających na ankietę twierdzą, że sport przyczynia się do ro[illegible] i podniesienia urody kobiecej...

Płatni danserzy.

Kraków, 20 lipca.

Młodzi mężczyźni w Anglii mało snać zdradzają zamiłowania do „okręcania" dam na balu, albowiem w niektórych pismach angielskich znajdujemy wzmianki, iż liczni zwolnieni z wojska oficerowie utrzymują się z bywania na balach w charakterze „zawodowych" danserów. Na piknikach, „reunionach", balach, urządzanych w klubach i hotelach, stale brakuje tancerzy, to też komitety zabawowe stworzyły specyalną organizacyę, mającą na celu dostarczenie męskich „nóg" do tańca. Młodzi ludzie z dobrego

NOWE KSIĄŻKI.

Powieść polska.

II.

Daniłowskiego „Tętent" — to jeden z pierwszych, jakie znamy, szczery refleks artystyczny epoki, którą przeżywać przypadł nam zaszczyt tragiczny. Wbrew pewnej rezerwie, do jakiej przyuczyła nas dotychczasowa nędzota produkcyi literackiej, osnutej na aktualności, — powieść porywa nas wnet mocnym pędem twórczym, który siłę swą czerpie w kipiących krwią gorącą źródłach miłości i cierpienia. „Tętent" naprawdę przyspiesza bieg krwi i tętno serca, jest krzykiem drgającym, dobytym „z tego pokolenia", nie literaturą tylko, lecz życiem, dwakroć promienniejszem i dwakroć prawdziwszem, bo mocą sztuki podniesionem ponad przypadkowość i doczesność, wyrwanem z pod straszliwego panowania dwóch potęg potwornych: Czasu i Przemiany.

Zaczyna się to tak prosto, niemal naiwnie, ta ułańska idylla, wśród scenery pachnącego lasu i białego dworku pod lasem, na którego widok samotnego jeźdźca „ogarnia błogość, poczucie jakiegoś ciepłego, serdecznego zacisza" — poczucie „jakiego każdy doznał bodaj raz w życiu na widok jakiegoś domku, w którym może szczęście moje się tai, a już przechodzę obok i nie powrócę tu nigdy, mimo, że wszystkie przyjazne moce ostrzegają przeciwnie. — Lecz Borski miał dobry instynkt. Póty krążył po lesie i drodze, aż szczęście swe znalazł i utulił, gdyby drżącego ptaka w cichem gnieździe pod lasem. „Znowu się dawna piosnka winie — o żołnierzyku i dziewczynie". I jest to naprawdę jedna strofa tej pieśni, co odtąd winąć się będzie, zda się, w nieskończoność, jak wieniec z dębu, róż i cyprysu, w około tej smutnej ziemi. Bo prawem jest odwiecznem, że gdzie szczęścia bije złota błyskawica, tam w ślad pada — grom śmierć. Ale ktoby o tem myślał! Najpiękniej ułan polski, gdy przy sercu garnie kochankę, a oboje otoczy i uwikła czarowną siecią rozkwitła w pełni uroda lata i natury.

To miłość, miłość włada sama... istniejące ponad wszystkiem, ten rzadki, rajski ptak, który na serca ludzkie raz na całą wieczność zlatuje, by spłonąć we własnych płomieniach, a tak powrócić w nieśmiertelność. To miłość, przed którą serce, niekiedy zbyt strwożone lub chorobliwie czułe, — zamknie się, powiew jej b[illegible] dyczom. Bo kobieta więcej przeczuwa, dłużej się broni. „Wsłuchiwała się w tętent ziemi i w jej takt kołysała się w jej sercu krew. Słodkiemi łzami wypełniały się jej piersi, wzdrygała się, czując, że stoi nad brzegiem wciągającej ją otchłani. Obmyślała [illegible] obrony przed porywającem ją uczuciem i zalewała się łzami z powodu tych postanowień".

Aleć wiadomo, że liścieni polotne jest ludzkie serce, ponoszone wichrem losu i że nic masz tak samotnego zacisza, gdzie możnaby ujść przed przeznaczeniem. A gdy wreszcie wszystko zdaje się straconem, — i straszny żal nurtuje piers — rozkosz nieoczekiwanie staje u wezgłowia — i oto wita ją „półsen, pół-jęk, spazmatyczny szloch wyzwalającego się uczucia".

Życie miłosne tych dwojga przypomina odtąd starożytne, greckie sielanki. Ta sama prostota i brak obłudy wobec wielkich praw przyrody, ożywcza kąpiel w źródle młodych instynktów, zgodne pulsowanie krwi młodej i czystej, wielki rytm serca i natury, płomienne porywy zmysłów, jak igraszki zwierząt pu[illegible] w noc leśnie i delikatne wzruszenia [illegible] przebudzeń.

Wręcz cudowne są tu stany miłosne, absolutnie wolne od [illegible] intellektualizmu lub wyrafinowania, w których niemniej mienią się najdelikatniejsze odcienie, jak motylich skrzydłach psyche... Nieme w nich rewel[illegible]

oficer na służbie przejeżdża statkiem, to garnizon miejscowy zaprasza go do siebie i gości w klubie przez cały dzień, a on za to opowiada im nowiny z kraju. Myślałem więc, że i teraz... Aż tu naraz pułkownik zaczął z całkiem innej beczki.

— Słyszeliście panowie zapewne pogłoski, jakie krążą o tym oficerze, od czasu ostatniej jego wycieczki w głąb Sahary. Są to wprawdzie pogłoski niesprawdzone, a skoro rząd darzy go i nadal swem zaufaniem, nie mamy prawa wydawać sądu; lecz pomiędzy tem jednak, a zapraszaniem do naszego klubu takiego człowieka, jest jeszcze wielka różnica. Cóż panowie o tem myślicie?

Tamci stali w milczeniu, lecz z twarzy ich poznałem odrazu, że myślą to samo, co pułkownik i nie chcą mieć tego oficera przy swoim stole.

Pułkownik dodał jeszcze.

— Pogłoski, rzecz prosta, nie wystarczają jeszcze, aby człowieka potępić, to też gdyby kapitan de Saint-Avit przybywał tu służbowo, musielibyśmy przyjąć go jak kolegę; ale szukać okazyi spotkania się z nim, składać mu dowody bratniej przyjaźni, to za wiele. Zresztą chciałbym usłyszeć wasze zdanie, panowie.

Oficerowie poczęli się naradzać, wreszcie jeden z młodszych rzekł:

— My wszyscy wdzięczni jesteśmy panu pułkownikowi, że zechciał zapytać nas o zdanie, koledzy moi słyszeli wszyscy o tej przykrej sprawie. Ja sam, będąc w Paryżu w wojskowem biurze geograficznem, zauważyłem, że panuje tam opinia nieprzychylna dla Andrzeja de Saint-Avit. Kapitan Morhange, który zginął w tak zagadkowy sposób, był tam bardzo ceniony, a śmierć jego nie miała innych świadków, prócz kapitana de Saint-Avit.

— Sam pan widzi — mówił wachmistrz, kończąc swe opowiadanie — że żaden z oficerów nie nazwał kapitana de Saint-Avit zabójcą, a tylko nie chcieli się z nim zadawać.

— Miła historya! — mruknąłem — więc dlatego ja się z nim będę musiał zadawać, w dodatku być od niego zależnym.

— A wie pan, jak się to skończyło — mówił dalej wachmistrz. — Kapitan de Saint-Avit przyjechał, lecz nie wysiadł wcale na brzeg. Pułkownik wysłał na jego spotkanie jednego z oficerów — a ten się odrazu dorozumiał,

o co chodzi. Pamiętam, jak dziś, jak ten, którego wysłano powrócił do klubu i zdawał raport z tej wizyty.

— Wszystko w porządku, mój pułkowniku — meldował przy wieczerzy — on się tu nie pokaże, ale... Tu przesunął ręką po czole i pamiętam, jak dziś, wypił raz po raz dwa kieliszki koniaku, choć zwykle nie pijał. Nie poszedł coprawda z własnej woli, a tylko na rozkaz, bo nie łatwo to przecież wypowiedzieć człowiekowi w żywe oczy rzecz taką.

— Panie pułkowniku — opowiadał potem — to musi być jakieś okropne nieporozumienie, Saint-Avit nie może być mordercą. Przygotowałem sobie w drodze całe przemówienie, lecz skorom go zobaczył język mi się splątał i bąknąłem ni to ni owo. Był w pełnym uniformie, wystawcie sobie, i miał ostrogi, to znaczy, że chciał przyjść, kto nosi ostrogi na statku? Zrozumiał odrazu poco mnie przysłano i wziąwszy mnie pod ramię zaprowadził na drugi koniec statku. Tam wsparty o balustradę patrzył na brzeg afrykański dziwnemi oczyma, jakich u nikogo nie widziałem: zapomniał, zdawałoby się, że stoję przy nim. Naraz zmienił się całkiem, stał się wesół, rozmowny, chociaż przytem nie ludzie jego, a on ludzi trzyma zdaleka. Wspomniał sam nazwisko kapitana Morhange i mówił o nim tak serdecznie, jak najlepszy przyjaciel — i to szczerze, całkiem szczerze, takich rzeczy udać nie można. Niech mówią co chcą, nie uwierzę nigdy, aby Saint-Avit zabić mógł kogo inaczej, jak w równym, otwartym boju, chyba więc jaki pojedynek, bo śmierć kapitana Morhange nie ulega wątpliwości. Słowem przekonany jestem, żeśmy skrzywdzili niewinnego.

Opowiadanie to odebrało całkiem humor pułkownikowi i reszcie oficerów, nie widziałem nigdy równie smutnej wieczerzy.

ROZDZIAŁ III.

PIERWSZE SPOTKANIE.

Powracaliśmy do domu po zachodzie słońca, to jest w chwili, gdy pustynia staje się dziwnie posępna, to też ogarnęła mnie nagła tęsknota i chęć powrotu do kraju. Myślałem o kolegach moich z Francyi, którzy o tej porze dnia, ukończywszy służbę, kładą błyszczący mundur i szukają gwaru, blasku, towarzystwa kobiet: zapragnąłem po-

Mówiliśmy więc sobie ty, lecz to nie całkiem wyrównało wzajemny nasz stosunek i czułem, że mimo całej dobrej woli, jaką Andrzej okazuje, istnieje między nami nieuchwytna zapora. Trwało to długi czas, a choć życie ułożyło się znośnie, pozostaliśmy w gruncie obcymi sobie ludźmi. Zmiarkowałem za to po niejakim czasie, że Andrzej nie ma zamiaru być tak gorliwym szefem, jak to zaznaczył w początkach. Zostawiał mi wszelką swobodę, ale i całe brzemię służby, o którą się wcale nie troszczył. Siedział najczęściej zamknięty w swoim pokoju, wertując zapamiętale książki, których spory zapas przywieziono mu w pakach, w parę dni po jego przybyciu. Książki te, które układałem z nim razem, były dla mnie pierwszem źródłem zdziwienia. Andrzej był nietylko zdolnym oficerem, lecz miał także opinię uczonego. Nie cieszył się wprawdzie tak wielką sławą, jak kapitan Morhange, który zginął, lecz bądź co bądź miałem prawo spodziewać się, że książki jego zawierać muszą najnowsze zdobycze z dziedziny wiedzy, że będzie to poważny materyał, niezbędny dla badacza i podróżnika. Zamiast tego był to dziwny zbiór bajek, które nauka dawno odrzuciła. Legendy starożytne i średniowieczne, sporo mytologii, rojenia fantastów, żyjących w różnych czasach i w różnych krajach.

— Dziwisz się, żem wybrał te właśnie książki? — rzekł Andrzej, który zwyczajem natur przeczulonych, odgadywał moje wątpliwości.

— Nie mam prawa dziwić się, skoro nie wiem, dla jakiego celu je zgromadziłeś — odparłem wymijająco.

Zauważyłem, że wśród książek tych znajdowało się wszystko, co pisanem było dziś lub przed wiekami o Atlantydzie, tej wyspie tajemniczej, która zatonąć miała w niepamiętnych czasach w głębiach oceanu, wraz z zamieszkującym ją ludem. Zwróciłem więc na to uwagę Andrzeja.

— Wyobrażasz sobie zapewne — rzekł — że wiedza nasza posiadła już wszystkie tajemnice globu ziemskiego.

Siedzieliśmy właśnie przy śniadaniu i przez otwarte okna mieliśmy rozległy widok na pustkowia, oblane żarem słońca, a wzrok nasz gubił się w nieskończonych bezkresach.

— Tego nie twierdzę — odrzekłem — wiem, że nawet Sahara nie została jeszcze zbadana, jak również wiele krajów, położonych we wnętrzu Afryki.

— Pod tym względem masz słuszność. Wiedza nasza

niewiele odkryła w tej mierze. A nawet cofnęła się wstecz. Starożytni wiedzieli o tem dużo więcej, dlatego też dobrze jest zwrócić się do ich dzieł, a także do opisów średniowiecznych podróżników, które niesłusznie uznano za bajki.

Nie dowierzałem tym wywodom, Andrzej zaś był także w moich oczach fantastą, lubującym się w urojeniach, nie przeczyłem mu jednak, aby go nie drażnić, on sam jednak powrócił raz jeszcze do tego przedmiotu.

— Tak, tak mój drogi: o pewnych częściach Afryki wie się u nas tyle prawie, co o zaginionej Atlantydzie, a przecież tu nawet, na Saharze, możnaby znaleźć pewne ślady istnienia tej wyspy.

— Na Saharze? — spytałem zdumiony.

— Ależ oczywiście! Czyż zapominasz, że pustynia ta była kiedyś morzem i że na morzu tem istniały wyspy?

Wygłosiwszy to zdanie Andrzej zamilkł, a wzrok jego błądzić począł po bezmiernych przestworzach z tym odległym zagadkowym wyrazem, który mu był właściwy.

Rozmowy te nie powtarzały się zbyt często, bo wkrótce potem ogarnęła Andrzeja nowa mania, istny szał wycieczek, na które wyruszał zawsze sam, nie biorąc z sobą ani jednego żołnierza.

Służbę zdał całkiem na mnie i wcale się o nią nie troszczył, żyjąc własnem, odrębnem życiem.

Skoro tylko słońce zniżało się do poziomu, kazał siodłać wielbłąda najlepszego mehari i odjeżdżał w pustynię, nie objaśniając mi nigdy celu swych wycieczek, które stawały się co dnia dłuższe. Z wycieczek tych powracał Andrzej z takiem upojeniem w oczach i z twarzą tak bladą, że zacząłem go posądzać, że pali gdzieś skrycie opium. Zataczał się, jak pijany, nie odpowiadał na pytania, to znów stawał się niezwykle wymowny, a choć mówił rzeczy ciekawe i niezwykłe, miałem niejasne uczucie, że obcuję z maniakiem. Próbowałem go śledzić, lecz nie znalazłem nic, chyba, że zabierał z sobą igiełki i tubki do palenia opium. Nie przeczuwałem jeszcze, że jedynym narkotykiem, który go odurzał, był wyłącznie jad pustyni zaszczepiony mu ręką odległej czarodziejki, której istnienie nie przeczuwałem również.

Dnia pewnego nabawił mnie Andrzej niemałej trwogi. Wyruszył zrana i bawił cały dzień i noc następną i nazajutrz dopiero około południa wielbłąd jego padł raczej,

wrócić do tego życia i powstała we mnie myśl, aby zaraz jutro podać się o przeniesienie. Był to jakby ostatni głos wzywający mnie do powrotu, lecz przeznaczenie moje czekało już na mnie.

Gdyśmy wyjechali w obręb naszego fortu Chatelain udał się do stajni, ja zaś zesiadłszy z grzbietu wielbłąda, podążyłem do pokoju, służącego mi za biuro. Tam od progu już zobaczyłem człowieka, siedzącego przy moim stole. Byłem pewny, że to Gourrut wertuje papiery moje ze zwykłą niedyskrecyą.

— Nie krępuj się Gourrut -- rzekłem drwiąco — widzę, że czujesz się tu, jak u siebie.

Człowiek powstał wtedy, był wysoki, smukły, a gdy zwrócił się do mnie, poznałem przy resztkach dziennego światła piękne, pociągłe rysy, mego dawnego kolegi.

— Porucznik Ferriere, jak sądzę? — rzekł, podając mi rękę.

— Kapitan de Saint-Avit — odparłem, odwzajemniając uścisk dłoni.

W tej chwili wszedł Chatelain, niosąc zapaloną lampę, a przy świetle jej, twarz Andrzeja wydała im się zimna i sroga.

— Ładne porządki zastaję tu u was — rzekł sucho, zwracając się do wachmistrza. Posterunek opuszczony, w stajni nieład, wielbłądy zabłocone, uprząż tak zardzewiała, jakby mokła na deszczu przez 300 dni w roku, wszystko to zmienić się musi, zechciejcie to sobie zapamiętać, wachmistrzu Chatelain.

Wtedy ja wystąpiłem blady i wściekły i rzekłem zdławionym z gniewu głosem.

— Mój kapitanie, mam zaszczyt oświadczyć, że wachmistrz Chatelain jest wzorowym podoficerem, nie opuścił posterunku, lecz towarzyszył mi na mój rozkaz i ja sam tylko ponoszę odpowiedzialność.

— Nie mam też zamiaru obciążać go odpowiedzialnością za winy jego szefa — odparł Andrzej tonem chłodnej ironii. O tem pomówimy później. Na razie pozwolę sobie tylko zauważyć, że oficer, który opuszcza niebacznie taki jak ten posterunek, nie zabezpieczywszy go należycie, może łatwo nie zastać za powrotem nic, prócz gołych ścian. Rozruchy w pustyni zaczynają się znów, a bandyci w burnusach docierają już do naszych linii, o czem powinnoby się tu wiedzieć. No! ale dość tego na dziś, jutro dokończymy wspólnie inspekcyi.

Był już na schodach, ja szedłem za nim, pochód zamykał Chatelain, który zdołał mi szepnąć:

— Ładnie się zaczyna, niema co mówić.

Wzruszyłem tylko ramionami, bo co do mnie, miałem niezłomne postanowienie wydostania się stąd. — Parę tygodni, miesiąc może będę musiał to ścierpieć, a potem może sobie Andrzej komu chce pokazywać swoje humory, Morderca, czy nie morderca, jest on w każdym razie nieznośnym szefem.

Spotkaliśmy się przy kolacyi, w czasie której panowało głuche milczenie. Przyglądałem się ukradkiem Andrzejowi, notując zmiany, jakie zaszły w nim, od czasu, gdyśmy siedzieli razem na ławie szkolnej. Życie przeszło po nim widocznie; był pięknym mężczyzną, ale miał twarz znużoną. — W oczach jego ukazywał się chwilami dziwny wyraz, jakiś odległy, nieobecny. Ustami wypowiadał zdania, w których myśl jego zdawała się nie brać udziału. — Obojętne słowa, jakie wymienił ze mną, zamknięte były w ramach chłodnej grzeczności. Czekałem niecierpliwie końca wieczerzy, by znaleźć się wreszcie sam w moim pokoju, gdzie zacząłem pisać podanie do ministeryum, żądając przeniesienia do kraju. Papier ten leży dotąd w szufladzie mego biurka, nie dostanie się on do rąk władz naszych, chyba po śmierci.

ROZDZIAŁ IV.
JAD PUSTYNI.

Zaraz nazajutrz przekonaliśmy się Chatelain i ja, że obcesowe postępowanie Andrzeja, była tylko manewrem, z góry obmyślanym. Chciał tylko zaznaczyć zaraz na wstępie, że bez względu na to, co o nim mówią, potrafi dźwigać brzemię swej przeszłości i w razie potrzeby zmusić nas do posłuchu. Po paru dniach już zmienił całkiem obejście i stał się miłym, wyrozumiałym szefem, roztaczając cały urok właściwych sobie zalet.

Ułagodził przedewszystkiem wachmistrza, chwaląc gorąco doskonałe wyćwiczenie rekrutów i rzetelną znajomość służby, którą odrazu ocenił. Ze mną stanął na stopie koleżeńskiej.

— Nie potrzebuję się upoważniać do mówienia mi ty, prawo to rozumie się samo przez się, wszak siedzieliśmy razem na ławie szkolnej.

nął przyklęknął, zrzucając go z siodła przed naszym posterunkiem.

Wieżdżając, dostrzedz musiał sformowany oddział Spahisów, który wyruszyć miał właśnie, aby go odszukać lub w razie potrzeby odbić, nie rzekł jednak nic i dopiero, gdy zasiedliśmy do stołu w jadalni, zaczął się usprawiedliwiać.

— Przykro mi, żem ci przysporzył kłopotu, ale noc była tak piękna, księżycowa, żem gnał przed siebie bez pamięci i zagalopowałem się trochę za daleko.

— Jesteś panem swoich czynności, mój drogi — odparłem mu na to — ale pozwolisz przypomnieć sobie własne twe zdanie, że komendant takiego, jak nasz posterunku, który wydala się, choćby na parę godzin, nie wydawszy żadnych rozkazów...

Nie obraził się o tę aluzyę, choć ją zrozumiał i rzekł tylko:

— Widzę! że masz dobrą pamięć.

Był znowu w dobrym humorze, w tym za dobrym, którego się lękałem.

— Wystaw sobie, mój drogi — mówił z nienaturalnem ożywieniem — że dziś w nocy, gdy księżyc stał wysoko, i oblał ziemię blaskiem tak jasnym, jak dzień w Europie, przekonałem się, że miejsce, w którem się znajduje, jest to samo właśnie, z którego Flatters wyruszał na swą wyprawę, z uczuciem przedziwnej rozkoszy, ajką daje pewność, że się już nie wróci.

— Szczególna rozkosz dla naczelnika wyprawy naukowej — odparłem niechętnie.

— Nie mów źle o Flattersie — odpowiedział Andrzej — ten człowiek kochał pustynię, jak nikt inny, kochał ją na śmierć.

— Inni kochali ją niemniej, lecz narażali tylko siebie, podczas gdy on zaprzepaścił swych towarzyszy. Dlaczego zresztą mówisz o jego śmierci? Wszak śmierci tej nie stwierdzono, a ty sam w czasie twej wyprawy nie znalazłeś żadnych dowodów.

Zaledwiem wyrzekł te słowa, ugryzłem się w język, bo wszak w czasie tej wyprawy właśnie zginął kapitan Morhange, którego śmierć ciężyła zagadkowym cieniem na dobrej sławie Andrzeja. On jednak nie zwrócił na to uwagi.

— Gdzie stałeś garnizonem zaraz po wstąpieniu do służby — spytał mnie nagle.

dze wojskowe nie uznały go winnym i nawet dały mu awans. A jednak Andrzej de Saint-Avit, który odszukać miał zaginionego Flattersa, zagubił natomiast kapitana Morhange, który był równie dzielnym, jak uczonym.

— Tego nikt nie wie, mój poruczniku — odparł Chatelain — skądżeby ja?...

— Nie bądźże dzieckiem, stary, czy się boisz, abym cię nie zdradził przed przyszłym szefem.

Utrafiłem tym razem w czułą strunę, bo Chatelain, który był mężny, jak lew, uczuł się dotknięty.

— Ja miałbym się bać? — zawołał — ja com się bił w kraju, gdzie za każdym drzewem czyhały czarne dyabły murzyńskie, a czarna łapa chwytała mię za nogę, aby odrąbać stopę. Wielu naszych tak okaleczono, a przecież nie bałem się wtedy, a miałbym się bać teraz? Jeśli nie mówię, to dlatego, że wiem tylko słowa.

— Więc powiedz mi te słowa.

— Ach, panie poruczniku! — westchnął — kiedy to właśnie słowa nie są dowodem, a bez dowodu nie wolno obwiniać ludzi o tak straszną zbrodnię.

— Właśnie dlatego powiedz, bym mógł sam sobie wyrobić zdanie.

— Słyszałem to przypadkeim, przy stole oficerskim, gdziem posługiwał w jadalni, przed dwoma laty — zaczął wreszcie Chatelain — Dano mnie tam dla odpoczynku, a dobra to była posada. Roboty prawie żadnej, jadła w bród. Zakupy na targu, wydawanie książek z czytelni. Pułkownik nasz był bardzo godny człowiek, a że był bezżenny, przychodził codzień do stołowni. Otóż dnia pewnego, gdy wszedł, zamiast siąść, jak zwykle, na swojem miejscu, stanął za krzesłem i przemówił do oficerów:

— Moi panowie! — rzekł. — mam dla was nowinę, a przytem chciałbym zasięgnąć waszej rady. Słyszeliście zapewne o kapitanie de Saint-Avit, którego rząd wysyłał dla odszukania Flattersa.

Tu pułkownik zatrzymał się, a oficerowie spojrzeli po sobie, nie mówiąc słowa.

— Oficer ten — mówił dalej pułkownik — przejeżdżać będzie jutro koło naszych wybrzeży, a statek, na którym się znajduje, zatrzyma się w porcie dwadzieścia cztery godzin.

— Oho! — pomyślałem sobie — będziemy mieć jutro dobrą wyżerkę, a najstarsze flaszki wina wyjdą z piwnicy. Bo jak pan porucznik wie, jest już taki zwyczaj, że skoro

ROZDZIAŁ I.

LIST Z ZAŚWIATÓW.[*]

Jeżeli list ten i dołączony doń rękopis ujrzą kiedy światło dzienne, będzie to dowodem, że dla mnie, który kreślę te słowa, światło owo dawno już świecić przestało. Sądzę też, iż każdy mi uwierzy, że spisując tą dziwną opowieść nie szukałem bynajmniej sławy pisarskiej.

Mój Boże! rzeczy te są już tak daleko poza mną. Myślę tylko, że lepiej jest, aby ktoś drugi nie zabłąkał się na drogę, z której dla mnie niema już powrotu.

Piszę to na pustyni w posterunku wojskowym, który opuszczam jutro. W tej chwili panuje noc, lecz wiem, że niebawem zaświta ranek i jutrzenka zaleje różaną pożogą kamienne zwały gór H a m a d a. Dla mnie ranek ten będzie ostatnim w mem życiu przed zerwaniem wszelkich nici, łączących mnie ze światem.

Przez uchylone drzwi słyszę spokojny, równy, jakże dziwnie równy oddech towarzysza mego kapitana de Saint-Avit, a przecież jutro wyruszamy obaj z nim w głąb Sahary. Rozkaz z ministeryum wojny nadszedł wczoraj i dziś już żaden z ans cofnąć się nie może. Zresztą ubiegaliśmy się obaj o tę misyę, Andrzej i ja; samiśmy tego pragnęli, a upoważnienie, któreśmy dostali, jest już dziś rozkazem.

Miałżebym lękać się? i czyż poto poruszyłem wszystkie wpływy, jakie mam w ministeryum, aby cofać się w pół drogi i drżeć ze strachu. Wiem ja dobrze, co to strach, doznałem go już kiedyś, gdy pewnego ranka znaleźliśmy dwa ohydnie zeszpecone trupy żołnierzy naszych, pomordowanych przez Berberów, z haniebnem piętnem wyrzezanem na ich ciele, ręką morderców.

[*] List ten ogłoszony został w kilka lat po wyjeździe pewnego oficera francuskiego, który zaginął w pustkowiach Sahary tak, że nie odszukano wcale jego śladów.

memu z poleceniem, aby doręczył go rodzinie mojej, w razie, gdybym nie wrócił.

Z papierów tych dowiedzą się, na jaką wyruszamy wyprawę, lecz wtedy będzie już za późno.

Oktawiusz Ferrier,
porucznik 3 pułku Spahisów.

ROZDZIAŁ II.

NIEPOŻĄDANY GOŚĆ.

Zaczęło się to w następujący sposób:

Pewnego dnia dostaliśmy w naszym posterunku pocztę z kraju, która mi przyniosła gazety i list od mej przyjaciółeczki z Francyi, pierwowzoru fotografii, której nazwiska nie wymienię. Zagłębiłem się odrazu w czytanie listu, podczas gdy wachmistrz mój, Chatelain, zdejmował opaski z gazet.

— Pan porucznik pozwoli? — zapytał wpierw, na co kiwnąłem potakująco głową, nie przerywając czytania. List był wesoły i pogodnej treści.

„Skoro pan otrzymasz tę przesyłkę — pisało moje dziewczątko — mama i ja wyjedziemy już z Paryża, a jeśli to przynieść może panu pociechę, donieść mogę, że się śmiertelnie bez pana nudzę. Robiłam wszystko, co mi pan zalecił, stawiałam na wyścigach na pańskiego faworyta i naturalnie przegrałam. W teatrze nic nowego. U państwa Martial, gdzie proszono nas na obiad, spotkałyśmy, jak zwykle naszego głośnego Eliasza Chatrian, który wygląda zawsze zadziwiająco młodo. Posyłam panu ostatnią jego powieść, do której wsadził wszystkich swoich znajomych, nie wyjmując Martialów. Załączam także kilka nowości Bourgeta, Lotiego, a przytem parę modnych pił, które tu każą ludziom czytać. Zabrałam też na wieś wiele książek, lecz wiem, że i tu także będzie nudno. Wiecznie ci sami idyoci niezbędni do tennisa; niewielka to z mej strony zasługa, że zamierzam często do pana pisywać. Ale, ale, proszę mi nie robić piekła o młodego Combemale, za to, że z nim chętniej rozmawiam. Nie jestem ani za grosz feministką, wierząc święcie panu i kilku jeszcze innym, ale zwłaszcza panu, że jestem dość ładna i urocza, by się bez tego obejść: wyznaję jednak, że gdy pomyślę sobie o waszych sprzejmościach garnizonowych dla arabskich lub

Berberyjskich U l e d-N e i l i że gdyby która z nas pozwoliła sobie na czwartą część podobnych umizgów względem hożych wiejskich parobczaków..." W tem miejscu utknąłem, bo przerwał mi zdumiony okrzyk wachmistrza.

— Panie poruczniku! — wołał Chatelain.

— Cóż takiego? — spytałem, podnosząc wzrok.

— Ładny nam kawał zrobili w ministeryum! Niech pan porucznik przeczyta.

Podsunął mi dziennik urzędowy, gdzie wyczytałem następującą nominacyę:

„Rozkazem z dnia 1 maja, kapitan Andrzej de Saint-Avit, z trzeciego pułku Spahisów, przydzielony został jako komendant do posterunku wojskowego H a s s i - I n i f e l".

— Co oni tam sobie myślą? — powtarzał Chatelain — nasyłać nam tu na komendanta takiego kapitana de Saint-Avit; czy to już nasz posterunek stał się kolonią karną?

Spojrzałem na niego z naganą. W biurze znajdował się prócz nas pisarz Gourrut, przebiegły lis, któremuśmy nie ufali, a który podniósł głowę i nadsłuchiwał.

— Wachmistrzu! — rzekłem surowo — kapitan de Saint-Avit jest moim dawnym kolegą, nie wolno ci mówić o nim bez szacunku.

Chatelain zasalutował i wyszedł, strapiony, lecz i ja podążyłem wkrótce za nim.

— Nie dąsaj się! stary — rzekłem, kładąc mu rękę na ramieniu — pomówimy innym razem o kapitanie de Saint-Avit, dziś wieczór ruszysz ze mną na objazd pustyni, a po drodze opowiesz mi, co wiesz o tym oficerze.

Powróciłem do biura i zacząłem rozmyślać nad położeniem. Od pięciu już lat przebywałem w tym posterunku, jako samowładny komendant, jeśli nie z urzędu, to faktycznie, a odpowiedzialność ta wcale mi nie ciężyła. Pochlebiałem sobie nawet, że służba na posterunku idzie dobrze, pod moją komendą znacznie lepiej, niż za mego poprzednika, który był oficerem kolonialnym, starego autoramentu i w końcu zapił się na śmierć. Śmierć ta zastała go przy flaszce absyntu, a trunek ten w jego szklance stał się naraz z zielonego białym. Wachmistrz Chatelain, który stał naprzeciw, zrozumiał odrazu, że stało się coś nadzwyczajnego. Podniósł więc wzrok i zobaczył zastygłe rysy kapitana, który trzymał jeszcze w kurczowo zaciśniętej dłoni karafkę z wodą i już nie żył.

Od śmierci tego sympatycznego pijaka upłynęło lat pięć, w czasie których nikt nie troszczył się o nasz poste-

BIBLIOTEKA POWIEŚCIOWA „GONCA KRAKOWSKIEGO"
Nr. 2.

PIOTR BENOIT

TAJEMNICE SAHARY

KRAKÓW 1919.
Z DRUKARNI LUDOWEJ W KRAKOWIE, DUNAJEWSKIEGO 5.

Wtedy porwało mnie przez chwilę uczucie straszenego lęku. Wtedy się bałem, lecz to, co czuję dziś, gdy z okiem wlepionem w niezgłębione ciemności, oczekuję z drżeniem chwili, w której wynurzy się z mroku wschodzące słońce, to nie lęk, lecz oczekiwanie tajemnicy, owianej grozą nieprzepartego uroku. Złudzenia może? mgliste opary wyobraźni? podniecone mirażem pustyni. O nie! Złudzenia te zakryły mi rzeczywistość i są mi nad wszystko drogie. Wróćmy jednak do rzeczy.

Rozkaz, któryśmy dostali z ministerium wojny, brzmi jak następuje:

„Kapitan de Saint-Avit i porucznik Ferriere udadzą się do kraju Tassili, aby zbadać na miejscu właściwości gruntu żwirowego, a zwłaszcza węglo-wapieni; przy tej sposobności zbadać mają nastrój okolicznych plemion w stosunku do naszych misyi wojskowych."

Tylko tyle.

Cha! cha! gdybym miał wybierać się w tę podróż dla tak marnych jedynie powodów, z pewnością, bym z miejsca nie ruszył. A zatem pragnę tego, czego się lękam i byłbym gorzko rozczarowany, gdyby mi się nie udało zajrzyć w oczy zgubnej tajemnicy, o której myśl przenika mnie rozkosznym dreszczem.

Lecz cóż to? Nagle szakal zaszczekał gdzieś w głębi doliny, wyżłobionej w łożysku wyschniętego strumienia; synogarlica zagruchała w palmowym gaju, zwiedziona blaskiem księżyca, który wzięła za słońce. A ja? przerwałem pisanie i spojrzałem przez okno. Tam na tarasie naszego małego fortu, wzniesionego na skraju pustyni, snuje się cień człowieka, owiniętego błyszczącą tkaniną. Człowiek ten zatrzymał się w tej chwili i widzę wyraźnie świecący punkcik zapalonego papierosa, który trzyma w ustach. Dlaczego znajduje się tutaj ten syn zemsty, członej nienawistnego nam plemienia. To przewodnik berberyjski, który powiedzie nas w głąb Sahary, do kraju tajemnic, a papierosa tego ja mu sam dałem z naszych zapasów wojskowych. Imię jego Seger ben Szeik.

Czyż imię to nic nam nie mówi? Czy zapomniano już w naszych kwaterach wojskowych o tragicznym końcu misyi Flattersa, tej misyi zdradziecko wymordowanej w czasie postoju, a której wódz znikł bez śladu, uprowadzony na grzbiecie wielbłąda. Pamiętam przecież dosłownie treść raportu, donoszącego o śmierci dzielnego pułkownika

Massau, który był wojskowym wodzem misyi, podczas gdy Flatters był jej naukowym kierownikiem.

„Pułkownik Masson — mówi raport — postawił właśnie nogę w strzemieniu, gdy osaczono ich niespodzianie, a olbrzymi Berber uchwycił konia jego za uzdę. Pułkownik ciął w rękę napastnika, odrąbując mu trzy palce, a wówczas Berber zadał mu śmiertelne pchnięcie swą krzywą szablą.

Seger ben Szeik jest również Berberem, członkiem może tego samego plemienia, które wycięło wtedy w pień naszych żołnierzy i uprowadziło w niewiadomym kierunku Flattersa. Cóż się stało z tym genialnym uczonym? który w młodym już wieku okrył sławą własne imię i imię Francyi? Czy żyje jeszcze? czy też zginął okropną śmiercią, jak tylu innych w niezgłębionych piaskach Sahary.?

Fotofor, przy którym piszę, rzuca na biały papier żółtawy krąg światła. Owad jakiś wleciał przez okno i krąży dokoła lampy, obijając się o rozpaloną kulę, aż wreszcie opada z opalonemi skrzydły; ogromny, czarny chrabąszcz afrykański, pocentkowany w szaroziemiste plamy. Jakże różny jest od tych małych bronzowych chrząszczów z rodzinnych moich stron, które fruwają z wesołym brzękiem nad łąką w majowe wieczory.

Myślę o dziwnem przeznaczeniu, które dało mi za kolegę Andrzeja de Saint-Avit. Dlaczego musiałem go poznać? dlaczego obrałem zawód wojskowy, zamiast zostać prawnikiem lub lekarzem? Siedziałbym teraz spokojnie w jakiem miasteczku francuskiem, zamiast wybierać się w tę niesłychaną podróż.

Tak niedawno jeszcze, w czasie ostatniego urlopu, gdy byłem w kraju, przechadzałem się brzegiem kwiecistej łąki, mając u boku wiotką postać dziewczęcą. Miała na włosach białą muszlinową szarfę, którą owinęła swą jasną główkę z powodu świeżości wieczora.

Wspomnienie to nawiedza mnie dziś, lecz nie wzrusza; przesuwam roztargnionym wzrokiem po biednej, małej fotografii, zawieszonej nad biurkiem i wiem tylko, że to, co miało mi wypełnić życie, straciło już dziś w mych oczach wszelką wartość. I dlaczego? Skąd ta przemiana? Nieprawdopodobna historya! bajka może, opowiedziana przez maniaka, na którym cięży zarzut potwornej zbrodni.

Seger ben Szeik wypalił papierosa i powraca pod dach powolnym krokiem. Jutro więc wyruszamy z nim, a przedtem list ten wraz z rękopisem powierzę wachmistrzowi

runek, gdzie spodziewałem się dotrwać aż do awansu, aż tu naraz nasyłają mi szefa i to jeszcze kogo? Andrzej był wprawdzie moim dawnym kolegą i miał sławę zdolnego oficera, awansował więc szybko, lecz potem ta jego podróż w głąb Sahary, z której powrócił sam, podczas gdy towarzysz jego zginął.

Krążyły o tej sprawie dziwne pogłoski i o nich to myślał Chatelain, dziwiąc się tej nominacyi. Stary musiał coś wiedzieć, inaczej nie ważyłby się mówić lekko o swoim szefie,, on wzorowy służbista. Czekałem niecierpliwie wieczora, aby się dowiedzieć prawdy. W czasie objazdu jednak, Chatelain dąsał się jeszcze i nie przemówił do mnie słowa, ja zaś nie chciałem pierwszy pytać. Wreszcie znużeni jazdą, spoczęliśmy obaj przy małej sadzawce, leżącej w środku oazy, licho uprawionej przez krajowców.

— Słuchaj, Chatelain! — zagadnąłem wtedy wachmistrza — ty masz coś na sercu, dlaczego milczysz? Mów, proszę się, możesz się teraz nie krępować.

— Nie wiem doprawdy, co pan porucznik ma na myśli?

— Wiesz dobrze, Chatelain, że chodzi tu o kapitana de Saint-Avit. Ty znasz go, powiedz mi więc, co o nim myślisz.

— To mężny człowiek — odparł po krótkiem wahaniu wachmistrz.

— A dlaczego gniewałeś się tak na jego nominacyę, skoroś ją wyczytał w gazecie?

— To bardzo mężny człowiek — powtórzył Chatelain — zna przytem pustynię, jak gdyby sam był Arabem. Przedzierał się samotrzeć przez najdziksze pustkowia i wrócił z miejsc, z których nikt nie wraca.

— Tak z pewnością — potwierdziłem, patrząc mu bacznie w oczy — lecz za to towarzysz jego wcale nie powrócił; kapitan Morhange został na wieki na tych nieznanych pustkowiach.

Usłyszawszy to, żołnierz zardział, ja zaś mówiłem dalej, nie spuszczając z niego wzroku.

— I mówięc powszechnie, że Andrzej Saint-Avit zamordował kapitana Morhange.

Chatelain zerwał się na równe nogi, widocznie zmieszany.

— Ja tego nie powiedziałem, mój poruczniku.

— Ty? nie; lecz za to inni opowiadają to sobie szeptem na posterunkach w pustyni, coprawda nie głośno, bo wła-

towarzystwa — posiadający porządny frak, lakierki, białe rękawiczki i eleganckie maniery — bywają zapraszani na zabawy tańcujące... za zapłatą... Naturalnie muszą to być dobrzy danserzy i sympatyczni „causeurs". Praca tych najemników balowych nie jest wcale tak lekką, jakby się zdawać mogło... Foxtrott, jazz, twostep i inne modne tańce są dość trudne do wyuczenia, a przytem każda dama pragnie się „wytańczyć", więc danser musi być przygotowany na jakieś 20 lub nawet więcej tur tanecznych przez wieczór. Jednakowoż wynagrodzenie dość wysokie daje zadośćuczynienie za poniesione trudy. Dobremu danserowi płaci się pięć gwinei (przeszło 100 koron według kursu pokojowego) za jeden wieczór tańcujący.

W jaki sposób zwalcza Francya drożyznę i lichwę?

(P.) Walka z drożyzną i lichwą stanowi obecnie we Francyi najważniejszą kwestyę, nad którą toczą się narady rządu. Na razie powzięto następujące doraźne uchwały:

W gęsto zaludnionych dzielnicach Paryża mają powstać baraki, w których sprzedawane będą towary po możliwie najniższych cenach. Z inicyatywy rządu otworzone będą tanie kuchnie o jednolitym jadłospisie, w których potrawy wydawane będą po bardzo nizkich cenach. Wszystkie zapasy, nagromadzone w wojskowych magazynach mają być oddane konsumom. Wreszcie ustanowiono specyalną policyę, której zadaniem będzie pociągać do surowej odpowiedzialności paskarzy i lichwiarzy.

„Arbeiter Zeitung" o sprawcach wojny.

Kraków, 20 lipca.

(P.) „Arbeiter Zeitung" pisze we wstępnym artykule o sprawcach wojny:

„Działali jak zbrodniarze, jak smarkacze! — Straszną jest ta myśl, że spadło na nas tak wielkie nieszczęście dlatego, że ludy były do tego stopnia zaślepione, iż losy swe złożyły w ręce ludzi, u których nie było śladu rozwagi ani sumienności. Lecz dosięgnął ich mściwy los. Monarchowie potracili korony „z Bożej łaski" i w panicznym strachu porzucili swe trony i „swoje" ludy, pogarda przypadła w udziale generałom i dyplomatom, a jeśli uwolniła ich śmierć od strasznej odpowiedzialności, przekleństwo ściga ich poza grób. Tej bezgranicznej, tak lekkomyślnie popełnionej winy ludy tym zbrodniarzom nigdy nie przebaczą! Takiej strasznej winy mogli się dopuścić tylko dzięki dotychczasowemu porządkowi świata, który, jak ta okropna katastrofa zwierzęcej rzezi milionów ludzi poucza, musi uledz stanowczo gruntownej zmianie".

Nieuleczalna arogancya Wilhelma.

(P.) „Daily Herald" ogłasza interwiew swego korespondenta z Wilhelmem, który w swej nieuleczalności arogancyi odważył się podyktować warunki, pod jakimi byłby gotów stanąć przed sądem. W końcu rozmowy zaznaczył, że nie obawia się wcale zjawienia się przed sądem i **spodziewa się, że życia nie dokończy na wyspie św. Heleny, lecz tam, gdzie go potrzebują t. zn. w Berlinie.**

W związku z kwestyą wydania Wilhelma przez Holandyę toczy się obecnie w prasie koalicyjnej żywa dyskusya.

„L'Oeuvre" przynosi ciekawy artykuł wstępny pióra Karola Saglio, który pisze:

Nie zabieram głosu w obronie cesarza, lecz w imię słuszności. **Cesarz sam się osądził, uciekając do Holandyi i zdradzając Niemcy w najstraszniejszej chwili**, którą im sam zgotował. W chwili ucieczki już go historya osądziła i zrzuciła temu cesarskiemu pajacowi koronę z głowy. Ciągnąc go więc przed sąd **byłoby** głupstwem, **bo zdrajcę i bankruta uczyniłoby się męczennikiem**, którego przyszłe pokolenia otoczyłyby męczeńską aureolą, a temu należy za wszelką cenę zapobiedz. Zostawiając go własnemu sumieniu, które do końca życia nie przestanie go ścigać, ukarze się go dostatecznie bez naruszenia honoru narodu niemieckiego, **który** w swoim byłym cesarzu widziałby **bohatera**, cierpiącego za Niemcy. Z tych względów należało — kończy publicysta francuski — **odstąpić od zamiaru stawiania tego cesarskiego błazna przed sądem.**

W jaki sposób zniknęły srebra pewnego króla.

Wspomnienia belgradzkie oficerów niemieckich.

Kraków, 19 lipca.

(P.) „Ostdeutsche Volkszeitung", wychodząca w Insterburgu, zamieściła przed niedawnym czasem rewelacye, przemilczane nie bez racyi przez wielkie dzienniki niemieckie. Organ pruski ogłosił istotnie artykuł z podpisem podoficera Brusta, przewodniczącego rady żołnierskiej 45 pułku piechoty, w którym to artykule zaprotestowano **przeciw rozdzieleniu pomiędzy oficerów tego pułku sreber Piotra, króla serbskiego.**

Na mocy istniejącego w Niemczech stanu wyjątkowego, przeciw autorowi tego artykułu wdrożono dochodzenia i „Ostdeutsche Volkszeitung" była zmuszona do umieszczenia następującego sprostowania, podpisanego przez majora Bode, dowódcę 45 pułku piechoty.

„Prawdą jest — oświadcza ten wyższy oficer pruski, — że **srebra króla Piotra serbskiego przekazane zostały (!) w swoim czasie sztabowi mego pułku**, jako wynagrodzenie za stratę zastawy stołowej tegoż pułku, która zginęła po inwazyi rosyjskiej w naszej prowincyi. Gdy pułk, a wraz z nim i sztab rozwiązano, **srebra króla Piotra zostały rozdane oficerom na pamiątkę (!).**

To osobliwe „sprostowanie", będące jaskrawem potwierdzeniem oskarżeń, skierowanych przez podoficera Brusta przeciw niemieckiemu korpusowi oficerskiemu, skłoniło publicystę p. Hellmuta Gerlacha, do zamieszczenia w piśmie „Freiheit" następujących charakterystycznych refleksyi:

„Jeszcze pora wdrożyć urzędowe śledztwo w sprawie **tej kradzieży**. Nie tylko Austro-Węgry obowiązane są do odszkodowania Serbii, my bowiem także mamy wiele do — zapomnienia. Ażeby sobie wyrobić pojęcie **o aktach grabieży, dokonanych w Belgradzie przez oficerów niemieckich**, wystarcza przeczytanie raportu naszego konsula, doktora Schliebena. Gdy doktor Schlieben wrócił do Belgradu w zimie 1916 roku, dostarczono mu takich materyałów, że — wprost **wstyd jest być Niemcem. Nawet willa naszego konsula została ograbiona".**

A zatem Niemcy okradali — nawet sami siebie!

O szacunek dla godła polskiego.

Kraków, 20 lipca.

Piszą nam z miasta:

Niejednokrotnie cała prasa zwracała uwagę na postępowanie władz, które gorliwie strzegły emblematów austryackich, niestety o polskie zupełnie się nie troszczą.

Szczególnie rażącym jest fakt, iż nad bramami gmachów rządowych, z których zniknęły dwugłowe orły austryackie, tak troskliwie „oczyszczane" z brudu, (nie moralnego. Przyp. zecera), **wiszą dorywczo sporządzone „obrazki" mające wyobrażać godło państwa polskiego, „Białego Orła"**. Czy urzędy odnośne są tak ubogie, że **nie mogą się zdobyć na kupienie trwałych i porządnie dla oka przedstawiających się emblematów państwowych?**

Z wielu stron słyszy się odpowiedź: **wszak to** drobnostka. A jednak fakt ten **drobnostką nie** jest.

Co sobie o nas pomyślą obcy?

Czy nie posądzą nas o brak szacunku... dla siebie samych.

Kilka dni temu jeden z cudzoziemskich oficerów interpelował piszącego w te słowa, czemu władze pozwalają na tak rażącą rzecz, jak używanie „Orła białego" jako godła na wozach meblowych, które stoją u wylotu ulicy Długiej.

Przyznać trzeba — że odpowiedzi nie umiałem znaleźć.

Może miarodajne czynniki znajdą sposób na to, by nie używano godła państwowego na gmachach i rzeczach prywatnych, a zarazem, by **gmachy rządowe doczekały się wreszcie zdjęcia zabrudzonych „obrazków"!**

---

mdłego, żadnego sentymentalizmu, — szczery moment wyzwolenia kobiety w miłości, jest wyzwoleniem jej piękna fizycznego i duchowego, jak woni i światła z odurzającej amfory kobiecego ciała.

Mocny, męski szalenie zmysłowy, ale niemniej wrazliwy na najtajniejsze nastroje duszy i przyrody, w bogatej skali artystycznej, talent Daniłowskiego, którego twórczość wykazywała jednak często rozbieżność i niespoistość budowy, w tym utworze dał — częściowo do końca wrażenie jednolite, przedziwnie skondensowane. Od ucieleśnionej bajki o Asmodeuszu, amorku strąconym do piekieł, który sam czarny jak heban, kocha się w jasnych kobietach i łowić się daje na złote pukle włosów, — aż po finał tragiczny, tem więcej swą ciszą i powszednością, ukryty przed ludzkiem okiem, — przewija się motyw przewodni: „tętent" ułańskiego konia", pędzący w takt tętna serca oczekującej kobiety, — tętent, który przywodzi kochanka w objęcia tej, co otwiera się mu, jak róża, spragniona rosy wieczornej, — tętent, który zwolna wzrasta do znaczenia potężnego symbolu, z niewiadomych dali pędzącego losu, piekielnej gonitwy miłości i śmierci, — aż po ostatni blask, gdy oderwawszy się kopytami od ziemi, wznosi się w zaświaty, by w burzliwą noc jesienną, — gdy kapiące z łoskotem z dachu i drzew grube krople czyniły wrażenie padających łez świata, a olbrzymie westchnienie porywającego się w szlochu wichru rozbudzało ciche łkanie w piersi kobiety, uciśnionej przeczuciem mętnem i straszliwem — zapaść w głuchą ciszę w ogrodzie, gdzie po raz pierwszy rozkołysały się ich serca w sen miłosny. „W łonie nocy rozlegało się głuche, chlupiące w rozmiękłej ziemi dudnienie, miękkie, stłumione, jakby kopyta pędzącego konie owinięte były suknem. Lecące nisko chmury przybrały kształty rozbieganych tabunów. Zadudniała głucho ziemia, przemknął jakiś bezkształtny cień i pod lipą tętent umilkł raptem, jakby zapadł się w ziemię".

Odtąd już jeno bezgłośne szamotanie się ginącego serca, coraz bardziej lodowata samotność, coraz głuchsza cisza bez dna — i jakaś pieśń nad pieśniami, snuta przez powolnie konającą ułudę — w listach, „które go nie doszły". A jeszcze potem — echo pożegnalne, co do lata z pola krwi i chwały: „A kiedy pójdę w te pole, będę niósł w ręku promyk twoich włosów, nim sobie świecił"... — i zaraz słowa chłodne, jakby pochodzące już z tamtego świata, co ją podniosły z pyłu ziemi: „Świta. Meldunek. Proszę siodłać konia. Żegnaj. Całuję Cię. — Do widzenia".

A potem już nic. Skończone. Pożartym został sens życia. Jeszcze jakiś bezpamiętny poryw, jakieś bolesne czołganie się ku cudzej trumnie, objętej płonącemi ramionami kochanki, jakieś strzępy uczuć i coraz cichnące echa w skrwawionem sercu kobiety — i... nicość — normalnego bytowania. Ostatnim przeciw niej protestem jest potężny moment ekstazy, wykwitłej z pamięci serca i ascezy zmysłów. W ciszy letniej nocy, w woni róż i lip rozkwitłych, w gwałtownym tętencie serca — kobieta runęła w objęcia widma — w próżnię, — która ostatecznie spopiela jej duszę.

Wraca do jawy w bolesnych skurczach ciała, jakby ją wyrywano z jego objęć — i nie myli się. Niesłychany wysiłek ducha schłonął go w jej własnem sercu, jak ziemia chłonie trupa, już nie głos jego słyszy, ale posępne milczenie dalekiej, samotnej mogiły — ta, która ani żyć ani umrzeć nie może.

„Tętent" odezwie się echem tysiąckrotnem w sercach kobiecych, — czasu tej żałosnej wojny, przeklętej i błogosławionej... **E. L.**

Wymiana depesz między Piłsudskim i Wilsonem.

Warszawa. (PAT) Naczelnik państwa wystosował do prezydenta Stanów Zjednoczonych następującą depeszę : Warszawa. Do Prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki. Waszyngton. W chwili, kiedy Stany Zjednoczone obchodzą święto swojej dawnej chwały i równocześnie swoje nowe zwycięstwo odniesione w walce o sprawiedliwość, niech mi wolno będzie przesłać Panu, Panie Prezydencie w mojem własnem imieniu i imieniem niepodległej Polski wyrazy naszej głębokiej wdzięczności i naszych życzeń jak najszczerszych. Pański głos Panie Prezydencie, który pierwszy podniósł światu prawa naszego narodu i ofiary poniesione przez pańskich rodaków, one to zapewniły tryumf szlachetnej idei. Nowy ustrój międzynarodowy, którego Pan, Panie Prezydencie pozostanie czczonym założycielem i którego **brzask** Polska wierna swoim tradycyom, powitała z zapałem, ustrój ten jeszcze ściślej połączy oba zaprzyjaźnione narody, we wspólnej pracy dla wolności, postępu i szczęścia ludzkości. **Piłsudski.**

Prezydent Stanów Zjednoczonych odpowiedział depeszą następującą: Do generała Piłsudskiego, Warszawa. Pańska serdeczna depesza sprawiła mi wielką przyjemność. Czuję się prawdziwie szczęśliwym na myśl, że osoba moja związana jest w pewnej mierze z przywróceniem niepodległości Polski. Będę skwapliwie śledził każdy krok postępu na drodze jej nowej niepodległości. Oczyma szczerego przyjaciela pragnę widzieć, jak urzeczywistni się piękna przyszłość otwierająca się dla narodu polskiego.

Woodrow Wilson.

Zacięte walki na froncie litewsko-białoruskim

Warszawa. (PAT) Komunikt sztabu generalnego wojsk polskich [illegible] lipca:

Front litewsko-białoruski: W okolicy na północny wschód od Wilejki i na odcinku Pierszoje Radosławce **walka trwa z niesłabnącą siłą w dalszym ciągu. Równocześnie zaatakował nieprzyjaciel nasze o ddziały w puszczy Maliborskiej i na linii rzeki Uszy. Bolszewicy otrzymują świeże posiłki. Zacięte walki w toku.**

Front poleski: Nasze przednie oddziały dochodz ądo Turowa, leżącego na przedpolu naszych linii obronnych. Poza zwykłą działalnością wywiadowczą i walką artyleryi sytuacya bez zmiany. Na całej połaci między Prypecią a Uborcią ludność zmęczona niesłychanym chaosem rządów bolszewickich, podczas których znikły elementarne pojęcia o własności i z powodu zaniku pociech religijnych, tłumnie się garnie do naszych wojsk, prosząc o jakiekolwiek rządy i władzę. Front galicyjsko-wołyński. **Przy oczyszczaniu przez nasze oddziały terenu na zachód od Zbrucza ujęto jeszcze 1347 jeńców. W nasze ręce wpadł jeden samolot nieprzyjacielski. Zresztą bez zmiany.**

Krwawa bitwa z bandytami w Warszawie.

W jaskini oprvszków. — Zbrojny opór. — Herszt bandytów zabija swoją kochankę i odbiera sobie życie.

Warszawa, 21 lipca.

Policya śledcza wpadła na trop bandytów, którzy w dniu 26 z. m. zamordowali przy ulicy Leszczyńskiej dla rabunku kasyerkę krajowej Spółki gorzelniczej, śp. Maryę Chełtawską.

Wczoraj aresztowano jednego z morderców.

W celu ujęcia reszty, **policya udała się na Bródno i osaczyła dom** (w obrębie 24-go komisaryatu), w którym — jak się dowiedziano — **przebywali wspólnicy aresztowanego.**

Zbrodniarze stawili zbrojny opór. Na pomoc policyantom wysłano żandarmeryę.

Bandyci zabarykadowali się w domu i bronili się z zaciekłością. **Opór pokonano po stoczeniu formalnej bitwy. Opryszkowie mieli duży zapas amunicyi i granatów ręcznych.**

Kiedy policya i żandarmerya ostatecznie opanowała dom, **jeden z bandytów, niejaki Karwacki, zastrzelił swoją kochankę, poczem odebrał sobie życie.** Zastrzelił się też inny bandyta.

Żona właściciela mieszkania, Wierzykowska, otrzymała postrzał, odłamek granatu ręcznego lekko zranił kierownika oddziału lotnego policyi, p. Dobeckiego.

Bandyci spalili wszystkie pieniądze, przechowywane w kryjówce zbójeckiej.

Nieszczęśliwy wypadek strażackiego auta.

Dwu strażników wypada z auta; jeden z nich zabija się na miejscu.

Kraków, 21 lipca.

(T) Wczoraj do tutejszej komendy straży ogniowej doniesiono, że pewien niezamieszkany stary dom przy ulicy Skawińskiej poczyna się walić i grozi zatamowaniem ruchu ulicznego, ranieniem przechodzących tamtędy osób. Na owe miejsce udało się kilka samochodów z żołnierzami-pompierami celem demolowania walącego się domu. Przy skręcie na Stradom, obok kościoła Bernardynów, jeden z samochodów wy wrócił się w pełnym biegu i siedzący w nim strażacy zostali wyrzuceni na kamienie bruku Jeden z nich, Adam Szczepański, lat 40 upadł tak nieszczęśliwie, że doznając złamania podstawy czaszki i licznych obrażeń na całem ciele **zginął na miejscu.** Drugi zaś, Stanisław Frycz doznał potłuczenia obu nóg i licznych kontuzyi. Stan jego nie jest groźny. Ciało zabitego, po skonstatowaniu śmierci, odwieziono na oddział medycyny sądowej. Rannego zaś Frycza, po opatrzeniu przez Pogotowie, pozostawiono opiece domowej.

Chwila bieżąca.

Kalendarzyk.

Poniedz. **21** lipca

Św. Praksedy

Wschód słońca 4·28

Zachód słońca 8·36

Długość dnia 15·55

TEATR IM. JUL. SŁOWACKIEGO:

Dziś: „Trubadur".

—o—

Zapomogi dla wdów i sierot po wojskowych.

Ministerstwo Spraw Wojskowych wyasygnowało dla wdów i sierót po wojskowych w okręgu krakowskim **40.000 koron.** Podania należy wnosić do Intendantury Okręgu Generalnego w Krakowie, ul. Gertrudy L. 12.

Ograniczenie służby wojskowej we Francyi do jednego roku.

(P) Jak z Paryża donoszą, Clemenceau zakomunikował izbie projekt rządowy ograniczenia służby wojskowej do jednego roku.

—o—

DO DZISIEJSZEGO NUMERU dołączamy poczetek (16 stron) najnowszej, niezwykle senzacyjnej i interesującej powieści Piotra Benoit p. t. „Tajemnice Sahary".

—o—

Z OPERY. Rozsprzedaż biletów na czwartek 24 i piątek 25 bm. rozpocznie się we wtorek dnia 22. We czwartek Butterfly z W. Hendrichówną w roli tytułowej i B. Gedlową jako Suzuki. Konsula śpiewa wytworny w tej roli gość warszawski Palewicz-Golejewski. W piątek przedostatni występ znakomitego St. Gruszczyńskiego w „Carmen". Reszta ról w obu operach niezmieniona.

(T) **WŁAMANIE DO MIESZKANIA.** Onegdaj nieznany złodziej wyszedłszy po rynnie na balkon I-go piętra jednego z domów przy ulicy Dietla, wyważył drzwi z balkonu i wszedł do mieszkania Anny Eisenberg gdzie skradł kostyum jedwabny kordonkowy wartości 4000 K., kostyum wełnianw wartości 1000 K. i wiele innych rzeczy łącznej wartości 6000 K. Złodziej ulotnił się tą samą drogą.

(T) **ZAGINĄŁ MAŁY CHŁOPIEC.** Wczoraj oddalił się z mieszkania Loli Rosenbaum mały 6-cio letni upośledzony an umyśle brat jej i dotychczas nie wrócił.

Dr. DAWID SCHIFF, adwokat w **Podgórzu** zmarł po krótkiej a ciężkiej chorobie dnia 19 lipca br. przeżywszy lat 53. W smutku pogrążona żona, bracia i krewni zapraszają Przyjaciół, Kolegów i znajomych zmarłego na obrzęd pogrzebowy, który się odbędzie w poniedziałek dnia 21 lipca o godz. 11 przedpołudniem z domu przedpogrzebowego na cmentarzu izraelickim w Krakowie.

Wręczenie traktatu pokojowego del. Austryi niemieckiej.

Wiedeń. (PAT). Wiedeńskie biuro kor. sp. donosi z St. Germain: Generalny sekretarz Dutasta **wręczył dziś w południe o godz. 12 traktat pokojowy delegacyi niemiecko-austryackiej we willi, zamieszkałej przez kanclerza państwa Dr. Rennera.** Wręczenie odbyło się bez ceremoniału. Traktat zawiera 371 artykułów. Do traktatu dołączone jest memorandum, które wylicza zmienione, względnie nowo wciągnięte artykuły i zwraca uwagę, że zmiany w poprzednim tekście nastąpiły z uwagi na traktat pokojowy, zawarty z Niemcami.

Wydawca: W zastępstwie Spółki Wydawniczej „Editor" Jerzy Kobarski. — Redaktor odpow.: Jan Stankiewicz.— Druk. Ludowa w Krakowie.